

Kronika tygodniowa.

Dopiero teraz, gdy już od nocy Sylwestrowej dzieli nas sporo czasu, dowiadujemy się, jak ochoczo bawili się Kraków, jak gdyby zapomnieli, że tam, na wschodnim froncie leje się polska krew, a na zachodzie, po południu i północy nie wiemy, co nas czeka.

Bawiono się w ścisłym tego słowa znaczeniu do samego rana, wypijając przytem całe morze szampa, niezliczoną moc wódek, ponczów itd., poiknięto zaś taką masę pączków, że wszystko to razem zamienione na gotówkę, w samym Krakowie dałoby kilkaset tysięcy. W pewnej restauracji płacono po dwadzieścia pięć koron za krzesło, kieliszek zaś lichego szampa kosztował... dwieście koron. Cały czysty dochód przeznaczony był na cele... kieszonki właściciela.

I narzekają ludzie, że ciężkie czasy, a pieniędzy brak, tymczasem zaś zadeszła kłama swym własnym słowem, bo jeżeli się rozchodzi o zabawę i własną przyjemność pieniędzy nie brakuje nawet najbardziej jęczącemu na los garbaty!

Stwierdzono statystycznie, że większość bawiących się to „neutralni” obywatele z należytym wypchanym portfelami. Bawili się bardzo głośno i z wielką pewnością siebie, jaką daje pieniądź. Radzi byłby, gdyby ich wesołość udzieliła się i sąsiadom, boć to żadna przyjemność patrzeć na smutne oblicza sąsiadów. To psuje wesoły nastrój.

Słyszano, jak jeden z takich „wesołków”, zamawiając butelkę szampa, zwrócił się do kelnera ze słowami:

— A strzel głośno!... Dostaniesz za to *extra* dwie korony!...

Gospodarze wszelakich lokali rozrywkowych mówili też, że stary rok dobrze się skończył, a nowy zaczął nie najgorzej, tego samego zdania byli i kelnerzy, którym taki wieczór przynosi grube tysiące.

Dla ilustracji obecnych stosunków niech służy dowód autentyczny. Opowiadano mi, że *piccolo* w pewnej eleganckiej restauracji ma legalnych dochodów tysiąc pięćset koron i utrzymanie, nie mówiąc o tem, co on sam uważa za „dochody boczne”.

I nieraz gdy o tem myślę, złamałbym ostatnie pióro kronikarskie, wziął serwetę pod pachę, a ołówek do ręki i leżałbym gościom, starając się, by się nigdy nie pomylić na swoją niekorzyść, a od „pomyłki” także obliczyć i procentek!

Z tymi procentami miast napiwków, które sobie kelnerzy uchwalili, a my z ulgą przyjąłmy co nam narzucano, to miła od Nowego Roku zajęta zmiana, że „podatek” ów, że względu na ciężkie czasy miał być podwyższony i nie „dopisywany” do rachunku, lecz wliczony w ceny potraw i napojów, co dałoby sposobność i gospodarzowi „uregulowania” ceny z pewnym zyskiem dla siebie.

Czy tak zostało, nie wiem, w żadnej bowiem restauracji nie byłem od Nowego Roku, ceniąc nad wszystko spokój i ciepło ogniska domowego, choć i cicho tam być nie może, gdzie są baby, ani ciepło, jeśli się w piecu nie pali.

Nowy Rok zaznaczył się już przecież różnemi „nowinkami”, które zarówno dotyczą żywych, jak i umarłych.

W pierwszej linii podrożał więc tramwaj, za bilet płać się bowiem koronę, co wpłynęło na zmniejszenie ścisłu we wozach, z czego najbardziej niezadowoleni są kieszonkowcy, mając utrudnione warunki operacji. Poza tem wydano zakaz wyplekania i sprzedawania w cukierniach, kawiarniach itd., ciastek z maki pszennej, jęczmiennej, żytniej itd., dozwalając jedynie na podawanie gościom białych, słodkich bułeczek.

Pięć piękna jest tem drakunskim zarządzeniem oburzona do żywego i niezawodnie przez łaskawego posła w spódnicę wniosła interpelację w Sejmie i postara się o zniesienie zakazu.

Magistrat, w którego budżecie stwierdzono dziurę i to daleko większą, niż owa na słońcu, mając coś około trzydziści milionów deficytu, co jest zresztą bardzo pomyślnym objawem, bo stwierdza, że mamy kredyt, co jest znów dowodem naszej zamożności, stara się o wynalezienie środków na jej załatwienie i wysila swą fantazję na wymyślenie „nowych źródeł dochodu”, ale stały, gdyż dawna polityka finansowa naszej gminy, polegająca na zasadzie „zaciągnąć pożyczkę krótkoterminową, która będzie pokryta z długoterminowej, uzyskać się mającej...” okazała się nieodpowiednią. A takie źródło dochodu trudniej nieraz znaleźć niż naftowe. Nawet i różdżka czarodziejska nie pomoże.

Przygotowują się zatem nowe podatki, dodatki, opłaty, na które narażeni są żywi, nie zapomniano jednak i o nieboszczykach i podniesiono ceny miejsc na cmentarzu, co może wpłynąć na zmniejszenie się „dochodu zmarłych”, podobnie jak to widzimy na po-

równaniu leżby dawniej jeżdżących tramwajami, z jeżdżącymi obecnie.

— Nie każdego, łaskawy panie, stać dziś na to, aby mógł umierać! — rzekł do mnie jeden ze znajomych, którego nie tak dawno skazali lekarze na śmierć, ale on widocznie wniósł od tego wyroku odwołanie, chodzi bowiem po mieście zupełnie żywy (nie duch!... Broń Boże!) i powtarza każdemu słowa wyżej przytoczone.

I ma rację! Życie dziś drogie, ale i śmierć także droga.

Pięknie to bardzo, że nasz magistrat stara się równomiernie rozłożyć owe opłaty na wszystkich, więc na żywych i umarłych, ale, czy to się zda na co?... Czy ową dzinrę zsiada się radykalnie?... Ja sądzę, że nie, bo ona ma to do siebie, że się ciągle otwiera, jak nie tu, to tam.

Nad czemże radziliby zresztą nasi ojcowie miasta, gdyby nie było deficytu?

Z tych nowych opłat, jakie teraz mają być, skorzystali już, jak to zresztą w poprzedniej kronice wspomnieliśmy, kamienicznicy i, aby przygotować lokatorów, podnieśli już teraz ceny, tłumacząc się, że dziś mieć dom, to znaczy tyle, co mieć kłopoty.

Bo i proszę mi powiedzieć, czy to nie kłopot, jeśli takiemu panu, który „zaoszczędził” na wojnie i pasku nieco grosza i kupił przed kilku miesiącami kamieniczkę za sześćset tysięcy koron, dać dziś półtora miliona, naturalnie koron, o których się mówi, że nie są nic warte, ale się je zbiera i chowa, w przewidywaniu, że one przecież odzyskają swą wartość, niech je tylko wywołają zagraniczni spekulanci.

Kamienicznicy płaczą nad swą dolą, ale im to nie przeszkadza kupować coraz to dalsze realności, wychodząc ze założenia, że w każdym razie pewniejszy jest kawałek ziemi, niż papier i to lichego gatunku.

Mieliśmy od Nowego Roku już jeden strajk, mianowicie drukarski, celem upamiętnienia rocznicy przedostatniego, który wypadł właśnie w pierwszej połowie stycznia 1919. Rozchodziło się o „drobnostkę”, podwyższenie płac o dziewięćdziesiąt procent, tak, że stary drukarz, pracujący przy dzienniku, zarabiał teraz do pięciu tysięcy koron miesięcznie.

I jak wobec nich wyglądają ci, co piszą? Złaje się, że byłoby naj lepiej, gdyby sam autor nauczył się składać. Doliczywszy do pracy drukarskiej honorarium autorskie, miałyby się więcej niż się dziś ma i zadłoby się kłama owemu wyrażeniu „bryndza dziennikarska”.

Dziś stosunek bowiem między dziennikarzem a drukarzem jest jak dwa do siedmiu. Aby w dziennikarstwie zarobić dwa tysiące koron miesięcznie, trzeba się dość napracować, drukarz zaś o siedmiu tysiącach gaży nie będzie oddał należąc do rzadkości.

Zatem apel do rodziców, mających dzieci.

Chcąc im zapewnić przyszłość, należy je już zawczasu kierować na drogę praktyczną, a nie myśleć dla nich o jakiejś amyslowej pracy, na tem bowiem wyjdą jak najgorzej i kiedyś będą przeklinać pamięć swych rodziców, którzy „spaczyli ich przyszłość” i skazali na klepanie biedy.

I będą miały zupełną rację!

Co się jeszcze dotyczy owych strajków, to należy zaznaczyć, że mamy ich po uszy! Niema prawie tygodnia, aby ktoś nie zastrajkował.

Strajk to broń bardzo skuteczna, ale nie powinno się jej nadużywać. Strajkują golibrody, przechodzi się nad tem do porządku dziennego, ostatecznie i strajk drukarski jest jeszcze do zniesienia, natomiast bezrobocie kolejarzy lub górników ma nieobliczalne wprost następstwa, gdyż paraliżuje handel i przemysł, odbija się wogóle na całym życiu, spychając je na niewiastciwe tory.

Nie biorę tego nikomu za złe, jeśli się stara o poprawę swego bytu, gdyż jest to łatwo zrozumiałem, że każdy dąży do tego, aby mu było jak najlepiej. Ale jak we wszystkim, tak i tu powinna być zachowana pewna miara.

Strajki, powodujące podwyżkę cen w najrozmaitszych dziedzinach, odbijają się tylko na kieszonki odbiercy i konsumenta, a to nie może iść w nieskończoność, bo ostatecznie i on raz znajdzie się w tem położeniu, że powie: „Nie da rady!...” i... zastrajkuje.

W obecnych warunkach byłoby przecież wskazane dwa bezrobocie, to jest restauracyjnej publiczności i paskarzy.

Prawda, że na karnawał czeka się rok cały, ale we warunkach, w jakich nam przychodzi pędzić życie, byłoby wskazaniem więcej umiarkowania.

Już od Sylwestra tańczy się u nas bez pamięci na cele narodowe, kulturalne, humanitarne, ale także i bez celu. Owe „cele” to tylko parawan, za którym kryje się dyskretnie... własna przyjemność. Pięknie jest dać folę swej ochocie i jest to nawet nieraz wskazane, ale my mamy jeszcze bardzo mało powodów do okazywania takiej nadmiernej radości.

Uporządkujmy najpierw nasze wewnętrzne i zewnętrzne stosunki, a wtedy znajdzie się czas i na huczną zabawę, co zaś ważniejsze nikt nam tego nie weźmie za złe.

I dlatego należy przyjąć z uznaniem do wiadomości postanowienie Poznańskiego, aby w tym roku, gdy się jeszcze leje polska krew na kresach, wstrzymać się od hucznych zabaw. Kto się bez nich obejść nie może, znajdzie sposobność w domowym kątku, gdzie się można nawet lepiej i swobodniej zabawić, niż na balu publicznym.

Siladanie nóg na ołtarzu pracy narodowej lub dobroczynności publicznej weszło u nas w modę, byłoby zaś bardziej wskazane, aby raczej brało się w tym kierunku w rachubę głowę lub ręce.

Zupełnie to samo powiedzieć można i o paskarzach. Pracują oni tak zawzięcie, że byłoby wskazane, aby sobie raz już wypoczęli i ogłosili bezrobocie. Sami na tem nic nie tracą, a ogół zyska.

Słusznie zupełnie wyraził się ktoś, że w historii świata, po wędrówce narodów, przyszła teraz kolej na wędrówkę paskarzy. Jak kruki, wędrujące za żerem, ciągną z miejsca na miejsce, ogalając daną okolicę ze wszystkiego, co może im przynieść jaką materialną korzyść.

Gdy swojego czasu mocarstwa centralne posunęły się w swym „zwyczajnym pochodzie” ku Wschodowi, Ukraina stała się ich ziemią obiecaną. Całą falangą ruszyli ku wschodowi, docierając do Kijowa i Odessy, mniej odważni obrali sobie Lwów za teren swej działalności. Zarobiło się też we Lwowie od różnego rodzaju aferzystów, przeważnie „neutralnych”, a interesy robili doskonale.

Obecnie przyszła kolej na dawny zabór pruski, głównie Poznańskie i tam też ciągną, nieczem Turcy do Mekki, czując tam dobrobyt i postanawiając go zniszczyć za każdą cenę.

Ze zaś w Poznańskim jest lepiej, niż u nas, tego dowodem choćby bułka za pięć fenigów, którą kronikarzowi przywiózł z nad Warty jeden z politycznych przyjaciół. U nas taka sama, to znaczy tej wielkości, lecz z ciemniejszej maki, kosztuje dwie korony i dwadzieścia halerzy.

Niech się jednak paskarze zabiorą po swojemu do roboty i tam rychło zmienią się stosunki, ale z pewnością nie na lepsze.

I dlatego strajk paskarzy byłby bardzo wskazany i spotkałby się z ogólnym uznaniem.

Kto tam zajmowałby się tego rodzaju drobnostkami, skoro mamy na głowie sprawy daleko ważniejsze, a jedną z nich jest kwestya, w którym miejscu ma stanąć w Krakowie gmach opery.

Bo, że bez własnej opery tak bogate miasto, jak gród podwawelski, obejść się nie może, to już postanowione, rozchodzi się tylko o to, gdzie ona ma stanąć i skąd na nią wziąć pieniądze.

Najpierw radzono obrać miejsce nad Wisłą, potem u wylotu ulicy Wolskiej. Pierwszy projekt spotkał się z zarzutem, że wilgoć ile wpłynie na głosy śpiewających, przy rozważaniu drogiego wzięto w rachubę wiatry, wiejące od strony Białej. Pozostał zatem punkt trzeci, to jest sąsiedztwo Parku Krakowskiego.

A fundusze?... O nie głupstwo, skoro można pezytycznić miasto coś da, znajdują się też zapewne i mecenasi sztuki, nie mogący się pogodzić z myślą, że taka stolica, jak Kraków, mogła się dotąd obejść bez stałej opery.

I jest w tem racja! Śpiewamy przecież i to bardzo cienko, zatem sił operowych i to krajowego wyrobu, z pewnością nam nie braknie.

Mniejże już daleko zainteresowanie wywołała wojna, jaką nowy minister skarbu, pan Grabski, wypowiedział koronom. Ci, którzy koron nie mają, powiadają sobie, że im wszystko jedno, czy funt k oron ma to znaczenie co funt marek, szczepili zaś ich posiadacze są tego zdania, że i na tej transakcy można zrobić niezgorszy interesik.

Już to, przyznać trzeba, pan minister skarbu nie udał się nam wcale i bardzo to nieładnie z jego strony, że tak „leci” na Małopolskę. Ale, bo i cały gabinet jest nieszczęśliwy.

Gdy po panu Paderewskim podjął się złożenia gabinetu pan Skulski, otucha wstąpiła w serca, zwłaszcza gdy się dowiedziano, że to aptekarz z zawodu. Ci zaś panowie znani są z tego, że nie gonią za jakimś nieuchwytnym ideałem, lecz zapatrują się na życie z praktycznej strony. Sądzono też, że wszystko pójdzie gładko, jak po... waselinie, tymczasem odzywają się jeden po drugim dysonanse, choć gabinet nie zaczął jeszcze na seryo urządować.

